

POWROT DNIA WSPOMNIEN

Może, napewno, kiedy ktoś nieznany
/nieznany komu meżna będzie nadać imię/
wspomni i pomyśli tak o mnie dalekim,
że powie, co powiedziałbym, gdybym był powrócił.

To ty, ty z czołem owiniętym jeszcze większą nocą.
Ty tutaj pielgrzymujesz do własnej ojczyzny.
Miejsca które wzbudziłeś, godziny które stworzyłeś
żyją jeszcze z twego światłocienia,
wychodzą ci na spotkanie.

Czy to ty? pyta terasa, z której tyle razy
spoglądałeś, jak w nocy gasky Eskurialu
kamienie, góry
ukoronowane dawnymi nazwami, dawnymi śniegami,
dawnymi drzewami co cię zamieszkały.

Chciałbyś mi coś powiedzieć, gdym spojrzał na ciebie,
ale wiesz, że strumień, który w twoim głosie
płynie, nie wróci nigdy do swojego źródła,
nie zmąci twego obrazu twój obraz dzisiejszy.

Wejdz, znam tego, który zwiedza twe własne pokoje,
dalekiego podróznika po tych samych izbach,
gościa błądzącego w smutku, w twoim domu.

Patrz, przyjaciele twoi przy kominku.

Wśród nich ty z książką w ręce.

Słuchają. W izk oczach kilku spośród słuchających
śmierć, która chce cię zrozumieć.

Będzie także teraz deszcz padał, mgła się będzie snuła
nad zatoką moich umarłych,
moich dni jeszcze żywych, bez umarłych.
Będzie także deszcz padał na las sosnowy, we mgle,
deszcz, będzie bił piorun
oddalającej się burzy w ich krzyku ostatnim,
ostatni piorun biczujący wieże.
I ty się zjawisz, biała starości, wyjdziemy z wystygłych
prześcieradeł krokiem dzieci z oczami słodkimi,
zjawi się moja matka u szyb kolorowych
wysokiego mirador, odsłaniającego na nowo
miasto błękitne ośnieżonych cieni
u zielonych balustrad,
które nagle oddźwiękną o zmierzchu
dłoni morza tajemnie i jak przez zapomnienie
opuszczającymi głębie wzruszoną na wietrze.
Wtedy wyjdę z Agustinem, z José Ignacio
i z Faquita, synem dorcźkarza,
pójdziemy zbierać ślimaki wśród murów,
wśród żółtych kwiatów na grobach,
albo zawieruszoną gajem z kępami janowca
pójdę zaprawiać do walki młode byczki
ze strachem jak uczeń złapany na psocie.
/To zapomniane uderzenia fali powracającej nagle,
nagłe słowa, te które las lasowi niesie,
przerwana rozmowa, wyznania morza i piasków wilgotnych./
Pochyłam głowę, kryję ucho we wgłębieniu dłoni,
aby lepiej usłyszeć głos wielkiej oddali,

Patrz, to twoje łóżko.

Spisz w nim jeszcze, a już cię w nim nie ma,
a już twój sen wyknął się z nagrzanego poduszki.
A jednak ubranie puste, bez nadziei, czeka
że je wypełnisz, że puści się w drogę.

Schyl się na chwilę nad wesołą kuchnią,
jeszcze tli się w popiele iskra po płomieniu.
Talerze z półek wpatrują się w ciebie,
z kredensu patrzą kolory kieliszów.
A na oświetlonej ścianie
- flet błękitny - kwili
maleńki cień kruchego kanarka.

Minawszy przedsionek,
nie masz, oprócz schodów,
które stopień po stopniu schodzą na ulicę,
żadnej już posiadłości i żadnej pociechy
ślichszej, niż ta, że, niewidzialny, odchodzisz
pielgrzymie we własnej ojczyźnie, we własnych żyjących
wspomnieniach.

Przełożył

Julian Przyboś

morze jest martwe, morze jest martwe i wraz z morzem
przeszłość. Pozostała,
pozostała
/tylko, czy słyszysz,
zmieszana rozmowa, gwar błędny, lęk ogarniający i porażający -
odwróć się od niego bez oczu, zamknę je bez snu.

Przełożył Julian Przyboś

Patrz, to twoje łóżko.

Spisz w nim jeszcze, a już cię w nim nie ma,
a już twój sen wymknął się z nagrzanej poduszki.
A jednak ubranie puste, bez nadziei, czeka
że je wypełnisz, że puści się w drogę.

Schyl się na chwilę nad wesołą kuchnią,
jeszcze tli się w popiele iskra po płomieniu.
Talerze z półek wpatrują się w ciebie,
z kredensu patrzą kolory kieliszów.
A na oświetlonej ścianie
- flet błękitny - kwili
małeńki cień kruchego kanarka.

Minąwszy przedsionek,
nie masz, oprócz schodów,
które stopień po stopniu schodzą na ulicę,
żadnej już posiadłości i żadnej pociechy
słodziej, niż ta, że, niewidzialny, odchodzisz
pielgrzymie we własnej ojczyźnie, we własnych żyjących
wspomnieniach.

Przełożył

Julian Przybeś